

O MŁAWSKIM „DZIADKU”¹

Każdy z domu rodzinnego wynosi coś osobliwego, co ze szczególną siłą wpływa na jego dzieciństwo, coś co wpływa na kształtowanie się jego psychiki w ciągu całego życia. Dla towarzysza Seweryna Strębskiego były to zebrania, które cichaczem odbywały się w mieszkaniu jego rodziców i książki. Może to nawet wydawać się trochę dziwne, że w domu mławskiego półanalfabety, jakim był ojciec Seweryna, książki były zjawiskiem codziennym, nieomal czczonym. Antoni Strębski nie umiał pisać, ale umiał czytać i czynił to z pasją.

Właśnie po książki, na rozmaite rozmowy, dyskusje i odczyty, schodzili się w domu Strębskich różni ludzie.

Spośród tych, których dobrze znał, Seweryn pamięta introligatora Rachockiego, szewców Juliana Bandurskiego i Jezierskiego. Gdy podrósł, zorientował się, że książki nie były jedyną literaturą jaką przynoszono i wynoszono z ich domu. Prócz książek często pojawiała się nielegalna „bibuła”: ulotki, czasopisma, rozmaite wydawnictwa SDKPiL, a później Komunistycznej Partii Polski.

Gdy mieszkali w Mławie na ulicy Grząskiej, Sewek miał 7 lat. W tym samym domu pod nimi zamieszkiwał Aleksander Druzdalewski. Jego żona flirtowała z żandarmami carskiej ochrony. Wszyscy o tym mówili i choć Sewek niewiele z tego rozumiał, chętnie przysłuchiwał się ploteczkom, w których Druzdalewskiego nazywano „Brodatym”. Wiadomo było również, że Druzdalewski współpracuje z żandarmami. A sens tej współpracy Sewek już rozumiał dobrze.

Pewnego razu (szczegóły tej historii Antoni Strębski opowiadał synowi znacznie później), towarzysze z techniki SDKPiL znaleźli się w trudnej sytuacji. Trzeba było partię cennej bibuły szybko przetransportować z zagrożonego miejsca i rozkolportować. Ale nie było pod ręką odpowiedniego, nie skompromitowanego lokalu. Wówczas Antoni Strębski wpadł na sprytny pomysł: literaturę wysłać na adres Aleksandra Druzdalewskiego. We frachcie podano chustki do nosa.

Gdy Druzdalewski otworzył przesyłkę i zobaczył co się w niej znajduje – przyleciał przerażony do sąsiada i krzyknął:

– Antoni ratuj! Żandarmi dziś u mnie na obiedzie, co mam z tym świństwem zrobić?

Antoni Strębski poratował sąsiada. Zabrał całą przesyłkę do siebie. I pod pozorem, że pozbywa się niebezpiecznego ładunku, spokojnie, bez obaw kolportował ulotki.

Podobna historia w domu Strębskich wydarzyła się znacznie później. Były to lata 1926-27. Ojciec i syn działali wówczas w KPP. Zgodnie z umową na adres ich miała przyjść z Warszawy duża partia literatury przeznaczonej dla całego okręgu. Fracht przyszedł tym razem na pomarańcze. Antoni polecił synowi odbiór paczki na poczcie. Seweryn trochę się bał. Ale jego młodszy brat, Tadeusz, sam wyskoczył z propozycją: Pozwól, ja pojedę, zobaczysz, zrobię to z drygiem. I pojechał. Skrzynie odebrał. Wynajął wóz, ale dorożkarz znał rodzinę Strębskich i wiedział, że nie należą do tych, którzy sprowadzają pomarańcze. Jadąc przez miasto zadumał się też nad tym, „co to się na świecie wyrabia, że Strębscy skrzynie z pomarańczami otrzymują”. Zadumy dorożkarskie bywają bardzo filozoficzne, a każdej

¹ Pierwodruk: *Trybuna Mazowiecka*, 19-20 listopada 1956 rok.

odkrywczej myśli towarzyszy trzaśnięcie z bata. Widocznie myśli takich było wiele, skoro stary dorożkarz raz po raz nad koniem batem wymachiwał.

Gdy dojechali do celu, dorożkarzowi musiała przyjść do głowy myśl zgoła olśniewająca: „To nie są pomarańcze, tylko bibuła komunistyczna”. Na środku podwórza bowiem zwalił ładunek, a sam w nogi.

Ale tu już było bezpiecznie. Seweryn z Tadeuszem w mig wtoczyli skrzynie do komórki. Potem nadeszły jednak dni niepokoju.

– Czy aby dorożkarz się nie wygada gdzieś na mieście?

Nie wiadomo było też jeszcze kto i kiedy zgłosi się po odbiór cennej przesyłki.

Po odczekaniu kilku dni, ojciec postanowił otworzyć skrzynię. Były w niej biuletyny KPP. Ojciec rozlokował to wszystko w sienniki i w pościel. Po tygodniu zaczęli zjeżdżać się funkcjonariusze partii i zabierać biuletyny dla swoich powiatów. Wszystko zostało starannie rozprowadzone.

Operacja udała się.

Tylko jeden egzemplarz ojciec zachował dla siebie. Nie mógł się z nim rozstać. Strasznie lubił słowa prawdy, jasno i prosto przez swoich wyłożone. Potrafił po kilkakroć czytać jedną i tę samą ulotkę, odezwę czy referat. A później swoimi słowami, żywymi, tchnącymi gorącą wiarą powtarzać i tłumaczyć innym, jakie to są prawa ludzi pracy, jaka powinna być walka.

Pewnego dnia odwiedził go tow. Józef Piskorowski, chłop ze wsi Mniszki. Antoni Strębski chętnie wypożyczył mu posiadany egzemplarz biuletynu. Traf chciał, że akurat w tym czasie policja przeprowadzała rewizję u Piskorowskiego, poszukując broni. Broni nie znalazła. Znalazła natomiast biuletyn KPP.

Podstępnyymi pytaniami urzędnicy „defy” tak skołowali przestraszonego chłopca, że ani się spostrzegł kiedy się wygadał, że biuletyn dał mu Antoni Strębski. Obu aresztowano.

Antoni nie przyznał się do stawianych mu zarzutów. Ze względu na brak dostatecznych dowodów wypuszczono go.

Antoniego Strębskiego, powszechnie zwanego „Dziadkiem” pamięta dziś jeszcze wielu ludzi w Mławie i okolicy. Wspominają go, kochają jego pamięć. Tak jak się kocha pamięć komunisty. Tego, który swoim stosunkiem do ich spraw, całym swoim życiem, nie tylko w wielkich zrywach, lecz postawą na codzień pokazywał swemu otoczeniu o co idzie walka, co łączy ludzi pracy.

Opowiadano mi jak umarł „Dziadek”. Przeczytawszy w gazecie wiadomość o dojściu Hitlera do władzy w Niemczech, dostał ataku serca.

Dzieci Antoniego Strębskiego: Seweryn, Tadeusz i Izabela, podobnie jak ojciec – wszyscy byli członkami KPP.

Jadwiga Zachczyńska